

INDYWIDUALNE HIPOTEZY

Poeta Aleksander Kudriaszow

Wala Pietrow przyszedł mnie o tym zawiadomić. Ściągnął beret z głowy, przygładził włosy i powiedział:

— No więc tak, Sania, zdecydowane.

Usiadł na niskim fotelu przy stole i wyciągnął przed siebie długie nogi. Uśmiechał się tak samo jak zwykle. Zapytałem:

— Kiedy?

— Za dziesięć dni. — Złożył beret na pół i wyprostował go na kolanie. — A jednak mnie wyznaczono. Zupełnie już straciłem nadzieję.

— Ależ nie, dlaczego? — odezwałem się. — Przecież jesteś doświadczonym astronautą.

Wyjąłem z lodówki wino. Stuknęliśmy się i wypiliśmy.

— Startujemy z Cyfeusza — powiedział Wala.

— Gdzie to jest?

— Sputnik Księżycy.

— Ach tak — powiedziałem. — Zdawało mi się, że Cyfeusz to konstelacja.

— Konstelacja nazywa się Cefeusz. A Cyfeusz — raczej Cyfej — po chińsku znaczy „start”. Ściśle mówiąc to lotnisko dla rakiet fotonowych.

Postawił kieliszek na stole, włożył beret i wstał.

— Dobra. Idę.

— A Różena? — zapytałem. — Różena wie?

— Nie — odparł Pietrow i usiadł z powrotem. — Jeszcze nie wie. Jeszcze jej nie powiedziałem.

Umilkliśmy.

— Na długo? — zapytałem. Wiedziałem, że na zawsze.

— Nie, nie bardzo — odrzekł Wala. — Zamierzamy wrócić za sto pięćdziesiąt lat. Albo za dwieście. Waszych ziemskich oczywiście. Olbrzymie szybkości. Prawie okrągłe „c”.

Zamyślił się.

— Dobra — powtórzył. — Muszę już iść. Ale nie ruszył się z miejsca.

— Napijmy się jeszcze — zaproponowałem.

— Daj.

Wypiliśmy jeszcze po kieliszku wina.

— No cóż — powiedział Pietrow. — Przed nami był Gorbowski, a przed Gorbowskim Bykow. Lecę trzeci. Szykują się jeszcze dwie ekspedycje. Dziesięć lat podróży, no, najwyżej piętnaście.

— Oczywiście — odparłem. — Einsteinowska względność czasu i tak dalej.

Wala wstał.

— Odprowadzisz mnie na lotnisko, Sania? — zapytał.

Skinąłem głową. Wala poprawił beret i skierował się do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się.

— Dziękuję — powiedział.

Nic na to nie odpowiedziałem. Nie mogłem wykrztusić słowa.

Prócz Pietrowa na „Muromcu” leciało jeszcze pięciu astronautów. Trzech spośród nich znałem — Larri Larsena, Siergieja Zawiałowa i Saburo Mikimi. Odprowadzających było

dziwięcioro. Na jakąś godzinę przed startem usiedliśmy wszyscy w mesie. Na Cyfeuszu nie było siły ciężenia i założono nam buty z namagnesowanymi podeszwami. Różena i Wala trzymali się za ręce. Różena bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich dni. Schudła, wydawało się, że ma jeszcze większe oczy. Była piękna. Wala trzymał jej dłoń w swojej ręce i uśmiechał się. Miałem wrażenie, że w myśli mknie już z nieprawdopodobną szybkością wśród dalekich gwiazd. Oboje milczeli. Raz tylko Różena powiedziała coś półgłosem i Pietrow pogłaskał jej rękę.

Pozostali milczeli również. Młodziutka dziewczyna w pomarańczowej sukience, odprowadzająca jakiegoś nie znanego mi astronautę, od czasu do czasu cichutko szlochała.

Nieraz już zdarzało mi się żegnać ludzi odlatujących w Kosmos. Pozostałym zapewne też. Ale dziś była szczególna sytuacja. Z tą szóstką żegnaliśmy się na zawsze. Pomyślałem, że gdy wrócą, nie zastaną przy życiu nikogo z nas — ani mnie, ani Różeny, ani dziewczątka w pomarańczowej sukience. Tę szóstkę powitają już przyszłe pokolenia. Możliwe, że będą to nawet ich potomkowie.

— Nie martw się — powiedział głośno Wala.

— Ja się nie martwię — odpowiedziała Różena.

— To przecież bardzo potrzebne.

— Rozumiem.

— Nie — odparł Pietrow. — Nie rozumiesz, Różenko. Wcale nie rozumiesz. I Aleksander też nie rozumie. Siedzi i myśli: „No i po co oni to robią?” Prawda, Sania?

Śmiał się. Nie, nie odgadł moich myśli. Znałem Walę od dziecka i bardzo go lubiłem. Ale byliśmy zupełnie różnymi ludźmi. Pietrow był zawsze trochę fanfaronem i pozerem. Wszystko mu się udawało i przyzwyczyił się do tego. Z uśmiechem balansował na skraju przepaści. Z pewnością zachwycał się sobą, że taki jest wesoły, beztroski, szczęściarz. Wyobraziłem sobie, że za półtorej setki lat również zejdzie na Ziemię z wesołym uśmiechem, uderzając po zniszczonym bucie laseczką wyciętą na Bóg wie jakiej planecie.

Do mesy wszedł jasnowłosy, opalony młodzieniec i oznajmił:

— Już czas, towarzysze.

Podnieśliśmy się. Dziewczyna w pomarańczowej sukience załkała głośno. Spojrzałem na Różenę i Pietrowa. Objęli się i Wala zanurzył twarz w jej włosach.

— Żegnaj, łasiczko — powiedział. Różena milczała.

Odeszła na bok i próbowała poprawić uczesanie. Włosy jej nie słuchały.

— Idź — powiedziała. — Idź. Nie mogę już. Proszę cię, idź. — Mówiła niskim, niezwykle matowym głosem. — Żegnaj.

Pietrow pocałował ją i cofnął się ku wyjściu. Cofał się, klapiąc żelaznymi podeszwami i patrzył na nią nie odwracając oczu. Twarz mu zbieleła, wargi miał też zupełnie białe. Przy wejściu zasłonił go barczysty Larri Larsen, następnie nieznajomy astronauta, którego odprowadzała dziewczyna w pomarańczowej sukience, wreszcie Sierioża Zawiałow.

— Do widzenia, Różenko — powiedział Pietrow.

Dopiero później uprzytomniłem sobie, że powiedział „do widzenia”, i pomyślałem, że — się przejęczył. Gdy wyszli i zatrzasnęła się za nimi pokrywa luku, jasnowłosy młodzieniec nacisnął jakieś guziczki na ścianie. Okazało się, że kulisty sufit mesy odgrywał rolę czegoś w rodzaju stereoteleekranu. Zobaczyliśmy „Muromca”. Był to znakomity statek kosmiczny z przelotowym napędem fotonowym na zasadzie anihilacji. Chwytał i spalał w reaktorze gazy kosmiczne, pyły i wszystko, na co można natrafić w przestrzeni. Posiadał nieograniczone możliwości przebiegu. Szybkość miał również nieograniczoną — oczywiście w ramach bariery światła. Był olbrzymi, miał około pół kilometra długości. Ale na mnie zrobił wrażenie srebrzystej zabawki, czarki do szampana zawieszanej w środku ekranu na tle gęstwy gwiazd.

Patrzyliśmy jak zaczarowani. Nagle ekran rozświetlił się. Światło było ostre jak błyskawice, białoliliowe. Oślepiło mnie na chwilę. Ale gdy przed oczu zniknęły różnobarwne koła, na ekranie zostały tylko gwiazdy.

— Wystartowali — powiedział jasnowłosy młodzieniec. Wydało mi się, że im zazdrości.

— Odleciał — powiedziała Różena.

Podeszła do mnie, niezgrabnie stawiając nogi w podkutych butach, i położyła mi dłoń na rękawie. Palce jej drżały.

— Jest mi bardzo smutno, Sania — powiedziała. — Boję się.

— Zostanę z tobą, jeśli pozwolisz — odparłem.

Ale Różena nie zgodziła się. Wróciliśmy do Nowosybirsk i rozstaliśmy się. Zabrałem się do pisania. Chciałem napisać wielki poemat o ludziach, którzy odchodzą ku gwiazdom, i o kobiecie, która została na pięknej, zielonej Ziemi. Jak stoi przed odlatującym przyjacielem i mówi niskim, matowym głosem: „Idź. Nie mogę już. Proszę cię, idź”. A on uśmiecha się zbielełymi wargami.

W pół roku później Różena zadzwoniła do mnie wczesnym rankiem. Była tak samo blada, a oczy miała równie duże jak wtedy na Cyfeuszu. Pomyślałem jednak, że sprawa to liliowawy odcień, który dają czasem ekrany wideofonów.

— Sania — powiedziała Różena. — Czekam cię na lotnisku. Przyjeżdżaj natychmiast.

Nie mogłem zrozumieć, co się stało, i zapytałem ją o to. Różena powtórzyła: „Czekam cię na lotnisku” — i położyła słuchawkę. Wsiadłem w samochód i pojechałem. Ranek był pogodny i chłodny. Uspokoiłem się trochę. Na lotnisku skiełkowano mnie do dużego pasażerskiego konwertoplanu, gotowego do odlotu. Konwertoplan wzniósł się w górę, gdy tylko wdrapałem się do kabiny. Uderzyłem boleśnie piersią o jakąś ramę. Potem zobaczyłem Różenę i usiadłem obok niej. Była rzeczywiście blada. Patrzyła wprost przed siebie i przygryzała dolną wargę.

— Dokąd lecimy? — zapytałem.

— Na północne lotnisko raketowe — odparła. Umilkła na długą chwilę i nagle dorzuciła: — Wala wraca.

— Co mówisz? — zawołałem.

Cóż mogłem powiedzieć więcej? Lecieliśmy dwie godziny i przez ten czas nie zamieniliśmy już ani słowa. Za to inni pasażerowie rozmawiali z ożywieniem. Byli bardzo podnieceni i pełni niedowierzania. Z rozmów dowiedziałem się, że wczoraj wieczorem otrzymano radiogram od Pietrowa. Dowódca Trzeciej Ekspedycji Międzygwiazdowej komunikował, że na „Muromcu” powstały jakieś uszkodzenia i wskutek tego zmuszony będzie do lądowania wprost na ziemskim lotnisku raketowym, z pominięciem zewnętrznych stacji.

— Pietrow się po prostu złąkł — powiedział siedzący za nami gruby, niemłody mężczyzna. — Nie ma w tym nic dziwnego. To się zdarza w przestrzeni kosmicznej.

Spojrzałem na Różenę i zobaczyłem, że zadrżał jej podbródek. Ale nie odwróciła głowy, aby zobaczyć, kto to powiedział. Uważała, że nie warto. Pietrow nie znał lęku.

Spóźniliśmy się. „Muromiec” już wylądował. Zatoczyliśmy nad nim dwa kręgi i mogłem się dobrze przyjrzeć statkowi. To już nie była zabawka, przypominająca czarkę do szampana. Pod szafirowym niebem na środku tundry nienaturalnie, krzywo sterczała ogromna budowla, zżarta przez niepojęte siły, pokryta dziwnymi zaciekami. Konwertoplan wylądował w odległości dziesięciu kilometrów od „Muromca”. Nie można było bliżej. Przyleciało jeszcze kilka konwertoplanów. Czekaliśmy. Wreszcie rozległ się warkot i nisko nad naszymi głowami przeleciał helikopter. Usiadł w odległości stu kroków od nas.

Potem nastąpił cud.

Z helikoptera wyszli trzej ludzie i skierowali się ku nam wolnym krokiem. Na przedzie kroczył wysoki, chudy mężczyzna w zniszczonym kombinezonie. Szedł i uderzał się po nodze laseczką szmaragdowej barwy. Za nim postępował krępy człowiek z bujną, rudą brodą i jeszcze jeden, szczupły i zgarbiony. Milczeliśmy. Nie wierzyliśmy własnym oczom.

Zbliżyli się jeszcze trochę i Różena krzyknęła:

— Wala!

Mężczyzna w zniszczonym kombinezonie zatrzymał się, rzucił laseczkę i pośpieszył ku nam prawie biegiem. Miał dziwną twarz — pozbawioną warg. Czy twarz była tak ciemna, że wargi nie odcinały się na niej, czy też wargi były zbyt blade? Mimo to od razu poznałem Pietrowa. Któż inny zresztą mógł przylecieć na „Muromcu”? Ale ten Pietrow był stary i brak mu było lewej ręki — pusty rękaw miał zatknięty za pasek kombinezonu. A jednak był to Pietrow. Bożena wybiegła na jego spotkanie. Padli sobie w objęcia. Ten z rudą brodą i ten zgarbiony zatrzymali się również. Byli to Larri Larsen i nieznamy pilot, którego pół roku temu odprowadzała dziewczyna w pomarańczowej sukience.

Otoczyliśmy ich w milczeniu. Patrzyliśmy jak urzeczeni. Pietrow powiedział ponad głową Rózeny:

— Dzień dobry. Wybaczenie, wielu spośród was już pewno zapomniałem. Przecież widzieliśmy się po raz ostatni przed siedemnastu laty...

Nikt nic na to nie odpowiedział.

— Gdzie jest kierownik lotniska? — zapytał Pietrow.

— To ja — powiedział kierownik północnego lotniska raketowego.

— Straciłem swoje automaty do wyładowywania — powiedział Pietrow. — Proszę rozładować statek. Przywieźliśmy wiele interesujących rzeczy.

Kierownik północnego lotniska raketowego patrzył na niego ze zgrozą i zachwytem.

— Nie otwierajcie tylko szóstej ładowni, dobrze? Tam są dwie mumie. Siergiej Zawiałow i Saburo Mikimi. Przywieźliśmy ich, żeby pochować na Ziemi. Wieźliśmy ich pięć lat. Prawda, Larri?

— Tak — powiedział Larri Larsen. — Siergieja Zawiałowa wieźliśmy pięć lat. Mikimi tylko trzy. A Porta został tam. — Uśmiechnął się, broda mu się zatrzęsała i z oczu popłynęły łzy.

Pietrow pochylił się nad Rózeną.

— Chodźmy, Rózenko. Chodźmy. Widzisz, wróciłem. Różena patrzyła na niego, tak jak nigdy żadna kobieta nie patrzyła i nie popatrzy na mnie.

— Tak — powiedziała. — Wróciłeś.

Zamknęła oczy i opuściła głowę. Poszli przez tłum obejmując się — wszyscy rozstąpiliśmy się przed nimi. Pożegnała się z nim na zawsze i spotkała po upływie pół roku. Odleciał na dwieście lat, a wrócił po siedemnastu. Udało mu się to. „Zawsze mu się wszystko udawało. Ale jak?

Nie wiem, jak to wytłumaczyć i czy w ogóle można wytłumaczyć. Jestem przecież tylko poetą. Nie fizykiem.

Artystka Różena Tomanowa

Tego dnia Wala wrócił późno. Długo marudził w swoim gabinecie, gwizdał coś fałszując niemiłosiernie, z przesadnym gniewem pokrzykiwał na małpkę. Zrozumiałam, że wszystko skończone. Usiadłam i nie byłam w stanie się podnieść. Wala wszedł i stanął koło mnie. Czułam, że mu jest trudno powiedzieć. Potem nachylił się i pocałował mnie we włosy. Robił to zawsze, gdy wracał do domu, i na sekundę doznałam przypływu szaleńczej nadziei. Ale Wala powiedział cicho:

— Odlatuję, Rózenko.

— Kiedy? — zapytałam.

— Za dziesięć dni.

Podniosłam się i zaczęłam przygotowywać go do podróży. Lubił, żebym wybierała i pakowała jego rzeczy. Zwykle krążył wtedy koło mnie, śpiewał, przeszkadzał i błaznował. Ale

teraz, gdy robiłam to po raz ostatni, stał na uboczu i milczał. Może i jemu również przypomniał się tamten wieczór nad — morzem.

Dziesięć lat temu dawaliśmy koncert w sanatorium dla astronautów w Teriokach. Mieliśmy nieludzką treść przed występami w obliczu ludzi najodważniejszych w świecie. Znacznie większą niż wobec zwykłych słuchaczy. Zwłaszcza że co trzeci z nich był artystą, co piąty — uczonym, a co dziesiąty i artystą, i uczonym zarazem. Nadeszła moja kolej, zaśpiewałam „Pieśń Solvejgi” i „Hymn do gwiazd”. Zdaje się, że mi się udało, bo mnie wielokrotnie wywoływano.

Podczas obiadu po koncercie znalazłam się obok młodego astronauty. Przez pewien czas milczał, a potem powiedział:

— Spodobał mi się pani śpiew.

— Dziękuję — odparłam. — Bardzo się starałam. Wiedziałam, że spodobał mu się nie tylko mój śpiew. On mi się również podobał. Był wysoki, niezbyt zgrabny, o chudej, opalonej twarzy. Twarz ta była nieładna i bardzo sympatyczna. Śliczne były tylko mądre, wesołe oczy, chociaż zauważyłam to prawdopodobnie o wiele później. Miał dwadzieścia pięć lat. Zapytałam go, jak się nazywa.

— Pietrow — powiedział — Dokładniej: Walentin Pietrow.

Podrapał się w czubek nosa i dodał:

— Ale pani niech mnie nazywa po prostu Wala. Dobrze?

Spojrzał na mnie jakby z lękiem i nawet wciągnął głowę w ramiona. Roześmiałam się. Był uroczy.

— Dobrze — odpowiedziałam. — Będę pana nazywać po prostu Wala.

Potem tańczyliśmy, a gdy zapadł zmrok, poszliśmy nad morze. Staliśmy zwrócenii twarzą w stronę żółtoczerwonego zachodu słońca. Wala opowiadał mi o ostatniej — nieudanej — ekspedycji na Ganimeda. Słuchałam go i wydawało mi się, że nikomu na świecie poza mną nie opowiedziałyby w ten sposób o swoim błędzie, który był przyczyną niepowodzenia wyprawy. Słuchałam, patrzyłam w zachodzące słońce i nade wszystko pragnęłam powiedzieć Wali coś dobrego, serdecznego. Ale nie mogłam jeszcze się odważyć. Wala stanął i powiedział:

— Kocham cię, Rózeno.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, i Wala zapytał:

— Gniewasz się?

Pocałowaliśmy się. Zostałam w Teriokach i był to najszczęśliwszy tydzień w moim życiu. Tak stałam się żoną astronauty.

Stopniowo coraz lepiej poznawałam Walę. Był zawsze wesoły, miły, łagodny. („Łagodny! — oburzył się kiedyś Sierioża Zawiałow. — Wszyscy jesteśmy łagodni, gdy mamy nad głową błękitne niebo. Zobaczysz swego Walusia, gdy »Nawoi« wpadł w potok meteorów—...”) Był zupełnie wyjątkowym człowiekiem. Nawet wśród jego przyjaciół nie znałam żadnego, który mógłby się z nim równać. Oczywiście nie on jeden był taki, ale ja nigdy nie spotkałam nikogo podobnego do niego.

Gorąco kochał swój zawód i śledził wszystkie najnowsze zdobycze teorii i techniki. Ale dość prędko odkryłam, że jego najistotniejsze zainteresowania dotyczą jakiejś innej dziedziny. W przerwach między rejsami (a zapewne i podczas rejsów) studiował wyniki najnowszych badań z teorii grawitacji, z mechaniki asymetrycznej, ze specjalnych dziedzin matematyki. Zbierali się u nas jego przyjaciele i potrafili dyskutować całe noce w okropnym rosyjsko-francusko-chińsko-angielskim żargonie. Mieli jakieś niesłychane plany, ale nie próbowałam nawet zrozumieć, o co chodzi.

Cztery lata temu pewnego wiosennego wieczoru Wala zapytał, co bym powiedziała, gdyby wziął udział w ekspedycji do gwiazd. Wiedziałam, co to są ekspedycje gwiazdne; w ostatnich czasach wiele o nich mówiono i pisano. Statek ulatuje z szybkością bliską prędkości światła w dalekie światy i wraca po upływie setek lat. Powiedziałam:

— Wtedy umrę.

Wiedziałałam, że umrę, jeżeli on mnie na zawsze opuści. I dodałam:

— Nie zrobisz mi tego. Proszę cię, nie rób tego. Spojrzał na mnie z lękiem i wciągnął głowę w ramiona.

Potem powiedział z uśmiechem:

— To jeszcze nieprędko.

Zrozumiałam, że już się zdecydował. Ta rozmowa legła cieniem na całe moje życie. W dwa lata później wystartowała Pierwsza Wyprawa Gwiezdna. Dowodził nią najbliższy przyjaciel Wali, Antoni Bykow. W rok później odleciał Gorbowski. Wala powiedział mi:

— Teraz moja kolej, Rózenko.

Wiedział, że zadaje mi ból. Ale chciał mnie przygotować. A mnie się chciało krzyżeć. Pragnęłam, aby oślepl albo złamał kręgosłup, byle tylko mnie nie opuszczał. Zdawałam sobie jednak sprawę, że to nic nie pomoże. Był zwiadowcą wielkiego i przeklętego wszechświata i nie mógł być nikim innym. Dlatego nie powiedziałam ani słowa.

Odwiedzał nas często Sania Kudriaszow. Wala i Sania znali się od dziecka. Sania był poetą. Zdawało mi się, że był jedynym człowiekiem, który mnie rozumiał i współczuł mi. No nie, Wala mnie też oczywiście rozumiał.

I oto nastąpił ostatni tydzień. Minął szybko — najsmutniejszy tydzień w moim życiu. Dostarczono nas na startową stację Cyfeusz, z której tak niedawno uleciały statki Bykova i Gorbowskiego. Towarzyszył nam Sania. Wiedziałałam, że Wala go zaprosił, i wiedziałam dlaczego. Wala wszystko rozumiał. Patrzyłam na Walę, ale nie wiem, na co on patrzył i co widział. Palce jego jednak ścisnęły i gniotły moją rękę, jakby chciały ją zapamiętać.

Oznajmiono, że czas startować. Wala objął mnie. Myślałam, że oszaleję. Odrzuciłam go i cofnął się patrząc mi w oczy, póki nie zniknął w otworze luku. Między nami legły stulecia.

Zostałam sama. Powiedziałam Sani, że chcę być sama. Wokoło mnie tętniło wielkie, piękne życie, ludzie uczyli się, kochali, budowali, a ja nie mogłam być razem z nimi. Przestałam śpiewać, nigdzie nie wychodziłam, z nikim nie rozmawiałam. Zazdrościłam innym ludziom, a może też syciłam się nadzieją. Prawdopodobnie gdzieś w głębi duszy wierzyłam zawsze, że Wala jest zdolny dokonać tego, co niemożliwe.

A potem zawiadomiono mnie, że „Muromiec” wraca. Nie zdziwiłam się. Okazało się, że przez cały czas się tego spodziewałam. Nie pamiętam, jak telefonowałam do Sani, jak się dostałam na lotnisko. Ktoś delikatnie, ale stanowczo wepchnął mnie do kabiny konwertoplanu i posadził w fotelu. Podziękowałam. Zjawił się Sania i konwertoplan wzniósł się w górę. Pasażerowie — astronauta, uczeni, inżynierowie usiłovali odgadnąć przyczynę powrotu „Muromca”. Jakiś wstrętny facet powiedział nawet, że Pietrow stchórzył. Śmiać mi się zachciało — nikt się nie domyślał, że Wala wraca do mnie.

Staliśmy nieskończenie długo i wypatrywaliśmy czarnej sylwety „Muromca” na horyzoncie. Potem z błękitnego nieba sfrunął helikopter. Z helikoptera wysiadło trzech ludzi i skierowało się ku nam. Na przedzie szedł wysoki, chudy człowiek w zniszczonym kombinezonie. Miał tylko jedną rękę i twarz jego przypominała maskę z gipsu, ale to był mój mąż — najodważniejszy i najpiękniejszy człowiek na świecie. Krzyknęłam i pobiegłam ku niemu. Rzucił się na moje spotkanie. Tego dnia nie oddałam go nikomu. Zamknęłam drzwi i wyłączyłam wideofon. Może nie powinnam była tak postępować. Przecież na Walę czekała cała planeta. Ale ja czekałam najwięcej.

— Było ci trudno? — zapytałam.

— Nam było bardzo trudno, Rózenko — odpowiedział.

— Kochałeś mnie tam?

— Kochałem cię wszędzie. Tam została planeta, której nadałem twoje imię. Ale już nie wiem gdzie. Tam został Porta. I moja ręka też tam została. To była zła planeta, Rózenko.

— Czemuż więc nadałeś jej moje imię?

— Nie wiem. W gruncie rzeczy to był wspaniały świat. Ale drogo nas kosztowało zdobycie go.

Uśmiechał się i wydawało mi się, że jest taki sam, jak przed dziesięciu laty na brzegu morza w Teriokach. Położyłam mu ręce na ramionach i spojrzałam mu w oczy.

— Jak ci się udało wrócić, Wala? Odpowiedział:

— Bardzo chciałem, Rózenko. Kocham cię bardzo, dlatego wróciłem. No i oczywiście pomogła fizyka.

Astronauta Walentin Pietrow

Trzecia Gwiezdna Ekspedycja rozpoczęta. „Muromiec” powoli nabierając szybkości oddalał się od Słońca, zmierzając prostopadle do płaszczyzny ekliptyki. Teraz czekało mnie zapoznanie towarzyszy z moim pomysłem. Na Ziemi wydawało mi się, że najtrudniejszą sprawą będzie uzyskanie zgody Rady Kosmogacji. Nie wątpiłem natomiast, że załoga zgodzi się bez wahania. W tej chwili zaś nie byłem już tego taki pewny. Spojrzałem na Sieriożę, który siedział przed pulpitem sterowania jedząc ciągutki i trochę się uspokoiłem. Sierioża wyraził zgodę już na Ziemi i razem broniliśmy tego pomysłu w Radzie. Skinąłem na niego i poszliśmy do mesy. Tutaj Larri grał z Saburo w szachy japońskie, mały Ludwik Porta grzebał się w filmotece, a Artur Lepelier starał się zapomnieć o dziewczęciu w pomarańczowej sukience.

— Słuchajcie — powiedziałem — czy wszyscy dokładnie zdajecie sobie sprawę z tego, co to jest ekspedycja gwiazdowa?

Spojrzeli na mnie ze zdumieniem. Oczywiście, że zdawali sobie sprawę. Lata nieprzerwanej powszedniości i wyrzeczenie na zawsze, gdyż kiedy wrócimy, wspomnienie o nas przekształci się w legendę.

Powiedziałem:

— Chcę wrócić na Ziemię wcześniej niż za sto lat.

— Ja też — rzekł Saburo.

— I ja też — dodał Larsen. — Na przykład dziś na kolację.

Artur Lepelier zmrużył oczy, a Ludwik powiedział z wolna:

— Chcesz zmniejszyć szybkość?

— Chcę wrócić do domu znacznie wcześniej niż za sto lat — powiedziałem. — Istnieje możliwość, żeby wykonać całą pracę i wrócić do domu nie za sto lat, ale za parę miesięcy.

— To niemożliwe — rzekł Mikimi. — Utopia — westchnął Artur.

Larri oparł podbródek na swych potężnych pięściach i zapytał:

— O co chodzi? Wy tłumacz, kapitanie.

Do wyjścia w strefę ASL (absolutnie swobodnego lotu) pozostało jeszcze parę dni. Usiadłem w fotelu między Arturem i Larsenem i powiedziałem Siergiejowi:

— Wy tłumacz.

— Wiadomo, że im mniejsza jest różnica między szybkością gwiazdolotu a prędkością światła, tym wolniej upływa czas w gwiazdolocie, zgodnie z teorią względności. Ale to prawo jest tym bardziej uzasadnione, im mniejsze jest przyśpieszenie gwiazdolotu i im krótszy czas pracy silnika. Jeżeli zaś przy zbliżonych do prędkości światła szybkościach gwiazdolot bez przerwy leci przy włączonym silniku, jeżeli przyśpieszenia będą dostatecznie duże, jeżeli przy barierze światła powstaje utrata przyśpieszenia, wtedy... Trudno przewidzieć, co wtedy nastąpi. Współczesna maszyna matematyczna nie jest w stanie wyprowadzić ogólnych wniosków. Jednak według niektórych indywidualnych hipotez teoria grawitacji nie wyklucza możliwości powstania zjawisk innego rzędu. Czas w gwiazdolocie przyśpieszy swój bieg. Na statku upłyną dziesiątki lat, a na Ziemi tylko miesiące. („Muromiec” jest pierwszym na świecie przelotowym statkiem fotonowym. Na nim można przeprowadzić ten eksperyment). Co

prawda będzie to nad wyraz trudne. Będzie wymagało całych lat lotu z potwornym przeciążeniem — pięcio- lub siedmiokrotnym...

— Utopia — rzekł Artur i westchnął znowu.

— Nie — rzekł Porta. — Niezupełnie.

Bardzo liczyłem na Portę. Był biologiem, lecz wiedza jego, jak mi się zdawało, obejmowała wszystkie chyba dziedziny prócz lingwistyki deskrypcyjnej.

— Słyszałem c tym — rzekł. — Ale to teoria. I to... — przytknął palcami.

Ale to nie była tylko teoria. Przed trzema laty przeprowadzałem loty doświadczalne na „Muromcu” w strefie ASL. Czterdzieści dni przesiedziałem w amortyzatorze, prowadząc gwiazdolit z przyspieszeniem 4 „g”. Gdy wróciłem, okazało się, że chronometr pokładowy wykazywał czternaście sekund różnicy. Przebyłem w przestrzeni o czternaście sekund dłużej, niż to wykazały zegary na Ziemi. Opowiedziałem o tym eksperymencie.

— O — powiedział Porta. — To dobrze.

— Ale to muszą być okrutne przeciążenia — powiedziałem. Bezwzględnie musiałem ich o tym uprzedzić, chociaż załogę skompletowałem z doświadczonych astronautów, dobrze znoszących podwójne albo nawet potrójne przeciążenie.

— Jakie? — zapytał Larri.

— Pięciokrotne. Aloo nawet siedmiokrotne.

— O — rzekł Porta. — To niedobrze.

— To znaczy, że ja będę ważył pół tony — powiedział Larri i ryknął takim śmiechem, że wszyscy zadrżeli.

— A Rada wie? — zapytał Saburo. Miał on duże poczucie odpowiedzialności.

— Oni nie wierzą, że coś z tego wyjdzie — odparł Siergiej. — Ale zezwolili... oczywiście, o ile wy się zgodzicie.

— Ja też nie wierzę — rzekł bardzo głośno Artur. — ‘Przeciążenia, indywidualne hipotezy... Na czym oprzecie te hipotezy?’

Zagłębili się w dyskusji, a ja poszedłem do kabiny sterowniczej. Rzecz jasna, że nie przestraszyli się przeciążeń, chociaż wszyscy dobrze wiedzieli, czym to pachnie. Zgadziali się już, oponował tylko Artur, który okropnie chciał, żeby go przekonali. W pół godziny później przyszli wszyscy razem do kabiny sterowniczej.

— Bierzmy się do dzieła, kapitanie — powiedział Larri.

— Wrócimy do domu — dodał Artur. — Do domu. Nie po prostu na Ziemię, ale do domu.

— Nawet jeżeli nam się nie uda — stwierdził Saburo — to bezwzględnie trzeba przeprowadzić doświadczenie.

— Co prawda pięciokrotne przeciążenie... — Porta znów poruszył palcami.

— Tak, pięciokrotne — powiedziałem. — Nawet siedmiokrotni. I to nie jeden dzień, nie tydzień. Jeżeli wytrzymamy.

Było to tak trudne, że chwilami sądziliśmy, że nie wytrzymamy. W ciągu pierwszych miesięcy powoli zwiększałem przyspieszenie. Mikimi i Zawiałow sporządzili program cybernetyczny i przyspieszenie zwiększało się automatycznie o jeden procent na dobę. Miałem nadzieję, że zdołamy się chociaż trochę przystosować. Ale okazało się, że to niemożliwe. Zmuszeni byliśmy zrezygnować z treściwego jedzenia i odżywialiśmy się bulionami i sokami. Po stu dniach nasza waga zwiększyła się trzykrotnie, a po stu czterdziestu — czterokrotnie. Leżeliśmy nieruchomo w hamakach i milczeliśmy, bo mówienie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Po stu sześćdziesięciu dniach przyspieszenie osiągnęło 5 „g”. W tym czasie tylko Saburo Mikimi był w stanie przejść z mesy do kabiny sterowniczej nie mdlejąc przy tym. Nie pomagały amortyzatory, nie pomagała nawet anabioza. Próba zastosowania anabiotycznego snu w warunkach takiego przeciążenia spełzała na niczym. Porta cierpiał najwięcej ze wszystkich, lecz gdy ułożyliśmy go w „sarkofagu”, w żaden sposób nie mógł zasnąć. Wyglądał

strasznie. Wszyscy wyglądaliśmy strasznie. Leżeliśmy przed sarkofagiem i patrzyliśmy na Portę.

— Dosyc, Wala — powiedział Sierioża. Poczłgaliśmy się do kabiny sterowniczej. Tam stał, tak, stał, Saburo z opadniętą dolną szczęką.

— Dosyc, Saburo — powiedziałem. Sierioża próbował się podnieść, ale znów upadł twarzą na podłogę.

— Dosyc — powtórzył. — Z Portą jest źle. Może umrzeć. Wyłącz reaktor, Saburo.

— Do trzykrotnego — powiedziałem.

Saburo, ledwo poruszając palcami, poskrobał paznokciami po pulpicie. I zrobiło się lekko. Zdumiewająco lekko.

— Trzykrotne — rzekł Saburo i usiadł obok nas na miękkiej podłodze. Poleżeliśmy chwilę, przywykając, potem wstaliśmy i skierowaliśmy się do mesy. Było nam o wiele lżej, ale spojrzeliśmy na siebie i z powrotem opuściliśmy się na czworaki.

Czas mijał. Szybkość własna^{*} „Muromca” przekroczyła prędkość światła i zwiększała się w dalszym ciągu o trzydzieści dwa metry na sekundę. Było nam bardzo trudno. Sądzę, że nikt z nas nie wierzył naprawdę w powodzenie eksperymentu. Za to każdy rozumiał, jakie konsekwencje mogą wynikać z powodzenia. I Larri Larsen, sapiąc i stękając, marzył, żeby w ciągu jednego życia oblecieć cały wszechświat i podarować go ludziom.

Porta poczuł się lepiej, dużo czytał i zajmował się teorią grawitacji. Od czasu do czasu kładliśmy go na parę tygodni do „sarkofagu”, ale to mu się nie podobało — nie chciał tracić czasu. Larri i Artur przeprowadzali obserwacje astronomiczne, Siergiej, Saburo i ja pełniliśmy dyżury. W przerwach między dyżurami obliczaliśmy bieg czasu w warunkach różnych układów przyspieszenia i różnych indywidualnych hipotez. Larri zmuszał nas do gimnastykowania się i pod koniec pierwszego roku mogłem już bez większego wysiłku podciągnąć na drążku swoje dwa cetnary.

A tymczasem Tają nabierała coraz mocniejszego blasku w skrzyżowaniu promieni teleskopu kierunkowego. Tają stanowiła cel pierwszych trzech wypraw gwiazdnych. Była jedną z najbliższych Słońca położonych gwiazd, na których już dawno zaobserwowano pewne nieprawidłowości ruchu. Przypuszczano, że Tają posiada układ planetarny. Przed nami ku Tai leciał Bykow na „Promieniu” i Gorbowski na „Terielu”. Bykow po przeleceniu każdego pięćdziesięciu tysięcy jednostek astronomicznych zrzucił potężne radioboje. Nowa trasa miała być wyznaczona szesnastu takimi radiobojami, ale ułowiliśmy sygnały tylko siedmiu. Możliwe, że boje uległy zniszczeniu lub też zboczyliśmy trochę z właściwej trasy, lecz najprawdopodobniej po prostu wyprzedziliśmy Bykova. Boje były zaopatrzone w instalacje odbiorcze pracujące na określonej częstotliwości. Można było zostawić zapis na taśmie dla tych, którzy będą przelatywali później. Jedna z boi przesygnalizowała w odpowiedzi na nasze pytanie: „Byłem tu. Czwarty rok lokalny. Gorbowski”. Niepodobna było z tego wywnioskować, o ile lat przed nami tędy przelatywał.

Tają nie miała układu planetarnego. Była to gwiazda podwójna. Jej niewidzialny z Ziemi towarzysz okazał się słabą, czerwoną gwiazdą, prawie wygasłą, o wyczerpanych już źródłach energii. Byliśmy pierwszymi ludźmi Ziemi, którzy widzieli obce słońca. Tają była żółta i bardzo podobna do naszego Słońca. Ale jej sputnik był piękny. Miał malinową barwę i pełzły po nim całe pasma czarnych plam. W dodatku nie był zwykłą gwiazdą: Larsen odkrył powolną nieprawidłową pulsację jego pola ciężenia. Krążyliśmy wokół niego dwa tygodnie, póki Artur i Larri przeprowadzali obserwacje. Były to rozkoszne tygodnie odpoczynku, normalnej ciężkości, chwilami nawet nieważkości.

* Szybkość własna — szybkość obliczana w odległościach mierzonych według nieruchomego obserwatora (na przykład z Ziemi) i okresów czasu mierzonych według zegara poruszającej się rakiety. Określona w ten sposób szybkość może naturalnie przekraczać prędkość światła.

Następnie skierowaliśmy się ku sąsiedniej gwiazdzie WK 71016. Zażądał tego Porta i nie wiem, czy słusznie postąpiłem ulegając mu. Porta był biologiem i przede wszystkim interesowały go problemy życia. Domagał się planety ciepłej, wilgotnej, z atmosferą, pełnej życia. My również pragnęliśmy zobaczyć obce światy. Mieliśmy nadzieję, że spotkamy podobne do siebie istoty. Każdy z nas, zanim został astronautą, marzył o tym. I ustąpiliśmy Porcie.

Lecieliśmy do tej gwiazdy cztery lata i znów straszliwe przeciążenia przyciskały nas do podłogi i dusiliśmy się w amortyzatorach. Ale mimo wszystko czuliśmy się znacznie lepiej niż na początku podróży. Widocznie jednak przystosowywaliśmy się. I dolecieliśmy do żółtego karła WK 71016.

Tak, gwiazda WK 71016 miała układ planetarny. Cztery planety, z których jedna posiadała atmosferę z tlenem i była trochę większa od Ziemi. Była to piękna planeta, zielona jak Ziemia, pokryta oceanami i rozległymi równinami. Nie znaleźliśmy na niej istot rozumnych, ale życia było pełno. Powiedziałem, że chcę ją nazwać imieniem Różeny. Nikt nie protestował. Ale planeta powitała nas tak, że wzdrygam się na samo wspomnienie o niej. Przyjęła nas wprost ohydnie. Porta tam został, nie wiemy nawet, gdzie jest jego grób, i została tam moja ręka, a Sierioża Zawiałow i Saburo Mikimi byli tak wyczerpani, że nie wytrzymali drogi powrotnej.

Spieszyło się nam bardzo. Pragnęliśmy trafić jeszcze w nasze czasy i do samego końca nie wiedzieliśmy, czy doświadczenie się udało. Trzy lata pędziliśmy z siedmiokrotnym przeciążeniem i o tym nie chcemy nawet wspominać. Potem odpoczywaliśmy rok na trzykrotnym przyspieszeniu. „Muromiec” źle słuchał sterów i byłem zmuszony do lądowania wprost na Ziemię z pominięciem stacji nadziemnej. Było to upokarzające, ale nie chciałem ryzykować. Wylądowaliśmy pomyślnie. Długo nie mogliśmy się zdecydować na opuszczenie statku, a potem wsiedliśmy do swego helikoptera i poleciliśmy do ludzi. I dopiero na widok Różeny zrozumiałem, że doświadczenie się udało.

Okrutne, trudne doświadczenie, ale się udało. Przywieźliśmy nowe światy naszym współczesnym. Może cały wszechświat, jak marzył Larri Larsen. To nadzwyczajne — nie dalekim potomkom u stóp własnych pomników, lecz bliskim, kochanym ludziom swego stulecia móc podarować klucze Przestrzeni i Czasu. Oczywiście, jesteśmy tylko wykonawcami. Dziękujemy ludziom, którzy stworzyli teorię grawitacji. Dziękujemy ludziom, którzy zbudowali rakietę przelotową. Dziękujemy ludziom, którzy stworzyli nasz jasny i piękny świat i przyczynili się do tego, że jesteśmy takimi, jakimi jesteśmy.

Tylko ten Bykow i Gorbowski. Cóż, gdy wrócą, nas już nie będzie. Sądzę jednak, że się o to nie pogniewają.

Przełożyła J. Dziarnowska